

Dzidzius piernik

Jakiś czas później oglądałem zdjęcia z tych koncertów i nagle uzmysłowiłem sobie, że jednak nie mam dwudziestu lat, a panowie na scenie są już w wieku emerytalnym. I wówczas cała inscenizacja objawiła mi się bez upiększania. Robert Smith w swoim typowo niechlujnym make-upie wyglądał jak ciotka, która rozbawiona do łez na imieninach spłynęła tuszem, a łąpczywie konsumowany schabowy rozmazał jej szminkę. Steven Tyler jako wysuszona dama w podeszłym wieku, która świadomie ignoruje depilację wąsika poruszył we mnie najbardziej subtelne obszary współczucia. Z szacunku, ale i litości, nie wspominam o Ozzym. Dawno temu funkcjonował niezwykle seksistowski termin określający kobietę w zaawansowanym wieku, która próbuje stylem ubierania i zachowaniem udawać znacznie młodszą. Mówiło się wtedy, że to „dzidia piernik”. Stosując zasady równouprawnienia można by dziś posłużyć się męskim odpowiednikiem - dzidzius piernik.

Ktoś powie - no i co z tego? Liczy się muzyka. A grać wciąż potrafią. A w ogóle to takie opinie trąca ejdżyzmem. Zarzut dyskryminowania osób ze względu na wiek byłby zasadny, gdybym był młodziakiem, a jestem zaledwie dekadę młodszy od wspomnianych artystów. Nie przeczę też, że nie potrafią grać. Tylko co grają? Od dłuższego już czasu pojawiają się głosy, że rock umarł. Pojawiają się w opiniach krytyków, ale i w wypowiedziach niektórych muzyków. Oczywiście zaraz generują wybuch społecznego sprzeciwu i obok naturalnych dla dzisiejszej narracji w mediach obelg i zgryźliwości, padają argumenty o ponadczasowości i niespożytej energii podmiotu. Zaraz też pojawia się nazwa Rolling Stones i „still alive” Keith Richards.

Wróćmy na chwilę na wspomniane przeze mnie koncerty i skierujmy wzrok zamiast na scenę - na widownię. W morzu głów łatwo rozpoznać, że ta publiczność też nie jest już pierwszej świeżości. Przeważają ludzie z szóstką i siódmką w peselu. Młodszy pojawiają się w drugoplanowych rolach dzieci i wnucząt zabranych w ramach akcji „zobacz gówniarzu jak brzmi prawdziwa muzyka”. Nie będzie więc dziwne, jeśli pozwolę sobie na wysnucie wniosku, że to właśnie boomersi i generacja X stanowią najbardziej gorliwą frakcję obrońców nieprzemijalności statusu rocka.

Tyle tylko, że rock nie umarł dlatego, że wyczerpała się muzyczna formuła gatunku, ale dlatego, że jego „prorocy obrośli w tłuszcz”. Muzyka rockowa to nie tylko utwory, to również, a może przede wszystkim, pewna postawa i filozofia. Jej zapalnikiem jest bunt i opór wobec świata. Ta kontestacja wyrażana jest w sposób hałaśliwy, emocjonalny i bezkompromisowy. Rock zawsze sprzeciwiał się establishmentowi, piętnował dorobkiewiczostwo, zachowawczość i wszelkie koterie. A w głównej mierze był zjawiskiem na wskroś autentycznym. Krótko mówiąc, rock był i jest muzyką młodych.

Tymczasem idole eksplozji rocka z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych postarzelisi, wyłysieli, zaokrąglili, a przede wszystkim stali się częścią establishmentu. Generalizuję, wiem, ale jednak trudno nie dostrzec faktu, że wielka gwiazda z milionami dolarów na koncie zdobytymi z tantem i koncertów, śpiewając dziś o zmienianiu świata na lepsze, raczej budzi u młodych wzruszenie ramion, niż poczucie identyfikacji i zrozumienia. Jeszcze mniej wiarygodne wydają się wyśpiewywane z uporem rockowe standardy sprzed 40 lat o różnych „bejbach” i szaleństwach nieprzespanych nocy lub narkotykowych tripach pełnych psychodelicznych wizji i seksualnych fantazji. Jeśli rock miałby pozostać autentyczny, to dziś Steven lub Ozzy powinni nagrać mocny kawałek o tym, że jak nie pójda spać najpóźniej o dwudziestej drugiej, to rankiem ciężko im się podnieść z poślaczanego łóżka, że już o problemach z łagodnym oddawaniem moczu nie wspomnę.

Z wielkim szacunkiem muszę przyznać, że są nestorzy gatunku, którzy dorośli wraz ze swoją muzyką. Phil Collins na pożegnalnej trasie koncertowej Genesis nie maskuje faktu, że ledwo się

porusza i choć odśpiewuje najsłynniejsze songi grupy, to zachowuje do tego wydarzenia daleko idący, pełen humoru dystans. Mark Knopfler rozwiązał Dire Straits w momencie, w którym jeszcze przypominali samych siebie z debiutu w 1977 roku i teraz koncertuje z gitarą akustyczną dając zachwycający wyraz swoim aktualnym fascynacjom muzycznym. Robert Fripp swoje ostatnie wcielenie King Crimson zmienił w zasadzie na kameralną orkiestrę muzyki współczesnej, która z rockowym rodowodem ma tylko wspólne doświadczenia. Oni, oraz paru innych sprawiają, że w kontakcie z ich dzisiejszą sztuką nie odczuwam zażenowania i nie muszę mierzyć się z głębokim poczuciem komizmu.

Jest więc rock muzyką starzejących się idoli i fanów. Idoli, którzy wciąż niosą mocno przygasły, ale podsycany nowoczesną medycyną oraz dolarami płomień rebelii, oraz fanów, którzy, strojąc się na koncert ukochanego artysty, starannie omijają lustra, bo pragną raz jeszcze przy pomocy tego płomienia rozpaść w sobie żar, który ostygł, a przez wiele lat dawał im poczucie wyjątkowości i napędzał wiarę w nieprzemijalność świata właśnie przemijającego na ich oczach.

Młodzież się na to nie łapie. Ma swoje mechanizmy i swój bunt, który jest również buntem przeciw pomarszczonym rockowym nutom. Ich rzeczywistość, w czym nie ma niczego niespotykanego, jest całkowicie inna. Ich niezgoda jest podobna jak ich ojców i matek, ale wyraża się w całkiem innych formach muzycznych. Króluje wśród nich elektronika, twórczy egalitaryzm, prostota i spójność. Rozbudowane konstrukcje rockowej stylistyki sprawiają wrażenia gładzenia, powtarzalności i rozwlekłości kojarzącej się ze sklerozą. Na bożyszczy boomersów i iksów spoglądają z ironią lub obojętnością, tak jak tamci spoglądali na popowe gwiazdy lat czterdziestych i pięćdziesiątych. A lamentsy starych na „tę dzisiejszą muzykę” traktują tylko jako satysfakcjonujące potwierdzenie swojej odrębności.

Zespół Perfect kiedyś zaśpiewał utwór z pamiętną frazą „trzeba wiedzieć kiedy ze sceny zejść” i choć im samym wprowadzenie tego postulatu w życie zajęło jeszcze ponad dwadzieścia lat, to trudno odmówić tym słowom celności i wagi na jakimś etapie zdobywania wiedzy o sobie. Ale cóż, jedną z atrakcyjnych barw naszego świata jest jego niedoskonałość.

Lecz oto ostatnie tygodnie przyniosły pełen nadziei dowód na zbawienną rolę rozwoju technologii. Rozpoczęły się bowiem koncerty grupy ABBA, w których sylwetki dojrzałych członków kwartetu zastępują ich młodsze awatary. I z doniesień prasowych wynika, że jest to show porywający i w pełni wiarygodny. Może więc niebawem, kiedy ta forma stanie się finansowo dostępniejsza, pojawi się możliwość scalenia w jeden autentyczny komunikat archiwalnej muzyki z aktualną biegłością instrumentalną i przekonującym wizerunkiem bohaterów. Z wielką ciekawością wybrałbym się na taki koncert.

Dariusz Bilski

Podcasty muzyczne Darka Bilskiego można znaleźć na Mixcloud w profilu HTMeco.